



# Najpierw coś się w moim życiu musi zdarzyć

Z Wojciechem Cejrowskim, podróżnikiem, filmowcem, twórcą programów telewizyjnych i radiowych oraz autorem wielu książek, rozmawia ks. Wojciech Węckowski.

**– Dlaczego pisze Pan tak rzadko? Poprzednia książka podróżnicza, pt. „Wyspa na prerii” została wydana pięć lat temu.**

– Publikuję rzadko, bo to ma być zawsze bestseller, a nie kolejna książka podobna do poprzednich. I ma być na tyle dobra, by przetrwać sto lat. Ludzie za sto lat mają nadal czytać ją z zainteresowaniem, jak Sienkiewicza – takie sobie stawiam ambitne cele. Chcę, by z tych książek żyły jeszcze moje prawnuki. Z biznesowego punktu widzenia za często wydawać książki też nie jest dobrze, bo nowa książka zagłusza poprzednie, a ja chcę nie tylko satysfakcji pisarskiej, ale porządných wyników finansowych. No i robię też masę innych rzeczy: prowadzę interesy na trzech kontynentach, kręcę filmy, handluję, występuję na scenie. Gdybym nie robił tego wszystkiego, byłbym pewnie szybszy w pisaniu – no, trochę szybszy, bo moje książki to nie są powieści wymyślane z głowy, to opowieści wzięte

z mojego życia. Zdarzenia prawdziwe. W moim życiu musi się najpierw nazywać tyle interesujących wydarzeń, żeby z tego wyszła ciekawa i spójna książka. No i zbiera się, ale wolno, a do tego równoległe do kilku książek naraz. W USA mieszkam pół roku, drugie pół w Polsce, do tego jakieś wyprawy... Przygody z życia w Arizonie musiałem ciuć kilka lat.

**– W księgarniach ukazuje się właśnie Pańskie najnowsze dzieło pt. „Piechotą do źródeł Orinoko”. Dlaczego podjął się Pan ponownie tego tematu?**

– Kiedyś opowiedziałem jedną trzecią tej historii, a całość dopiero teraz. „WC na końcu Orinoko” wydane w roku 1998 nie zawierało większości wydarzeń opisanych teraz, nie miało też dobrych dialogów, bo wtedy byłem pisarzem początkującym i po prostu nie umiałem pisać dialogów. A dialogi są u mnie kluczowe. Ludzie lubią oglądać „Boso przez świat” z powodu dialogów. Mu-

siałem się nauczyć tak pisać, by było je „słyszać” także w moich książkach. Po raz pierwszy udało mi się to, gdy napisałem „Gringo wśród dzikich plemion”. Ludzie w trakcie czytania zaczęli słyszeć w głowach mój głos. Ta książka jest trochę jak audiobook – patrzysz oczami na tekst, a w głowie słyszysz Cejrowskiego.

„Piechotą do źródeł Orinoko” to całkiem nowa książka, choć oczywiście opowiada o tej samej wyprawie, którą częściowo i trochę koślawo opisałem w roku 1998. Wtedy większość wątków świadomie pominąłem z powodów... kryminalnych. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego byłem przemytnikiem szmaragdów (z mojego punktu widzenia byłem szczęściarzem, który trafił na szmaragdy.) Z publikacją całej opowieści musiałem poczekać do przedawnienia. I właśnie się przedawniło we wszystkich krajach, gdzie byłem przestępcą. Dlatego premierę tej opowieści w pełnej



krasie i bez autocenzury mamy w roku 2019, a nie dwadzieścia lat temu.

**– Pisał Pan tę książkę u siebie w Stanach Zjednoczonych. Czy tam, na prerii, dobrze się Panu pisze?**

– Życie w Ameryce jest łatwe i słodkie, a na mojej ziemi, na prerii, jest urocza cisza i przestrzeń jak okiem sięgnąć. W tej otwartej przestrzeni i ciszy pisze mi się łatwiej, chętniej. Sprawy codzienne dają się ogarnąć w kilka minut. W Polsce nawet proste zakupy nie są proste, bo gdybym poszedł do Biedronki po musztardę, to robi się sensacja, a w USA w Walmarcie nikt mnie nie zna, nie prosi o autograf, a poza tym musztardę zamawiam przez Internet i następnego dnia wyciągam ze skrzynki na listy. Tam mam czas, przestrzeń i ciszę na pisanie.

**– Jak długo trwa u Pana pisanie książki? Czy ma Pan jakąś sprawdzoną metodę pracy?**

– Po pierwsze kilka lat „ciułania” przygód. Najpierw coś się w moim życiu musi zdarzyć, coś ciekawego, wesołego i wartościowego jednocześnie – takie zdarzenia zapisuję na bieżąco, czasami ich kawałki pokazuję Państwu na Facebooku. Potem, gdy już widzę, że mam dość przygód na dwie książki, zaczyna się wywalanie. Zebrało się, a teraz połowę z tego wywalam do dolnej szuflady, bo albo nie jest wystarczająco ciekawe, albo nie jest zabawne, albo nie pasuje do reszty, bo choć zdarzyło się naprawdę, w tym samym miejscu i czasie, to jakoś nie pasuje do opowieści, nie jest spójne.

Ludzie od kilku lat proszą mnie o książkę o Szwagierce i Chrześniakach. Kiedyś napiszę, ale za ile to będzie lat, nie wiem. Na razie mam za mało historii spełniających moje normy. Średnią książkę mógłbym z tego poskładać już dziś, ale czekam. I poczekam cierpliwie nawet dziesięć czy piętnaście lat, gdy moi Chrześniacy staną się dorosłymi mężczyzunami, ożenią się lub pójdą do zakonu. Książka o wychowywaniu małych chłopców przez ich świrniętego Stryjaszka wymaga zakończenia, w którym okaże się, jakie efekty przyniosło to moje wychowanie. Czy rację miałem ja, czy Szwagierka, która dzisiaj zwalcza wszystkie moje pomysły. Na końcu książki o Chrześniakach stary Stryjaszek musi ich zapytać, co pamiętają z tych naszych przygód i wygłupów, co było dla nich najważniejsze. Na końcu tej książki stara Szwagierka musi albo trwać przy swoim, albo w końcu przyznać mi rację. A najpiękniej domknęta opowieścią o Chrześniakach i Szwagierce byłaby książka, w której na ostatniej stronie jest przedruk mowy pogrzebowej jednego z nich nad grobem Stryjaszka. Taką książkę uznałbym za kompletną. Czyli muszą Państwo jeszcze trochę poczekać, bo ja taki właśnie mam warsztat.

Oczywiście, gdy opisuję jedną konkretną wyprawę, tak jak w książce „Rio Anaconda”, niekoniecznie trzeba czekać aż tak długo – jedna wyprawa, wszystko, co się zdarzyć miało, to się już zdarzyło i nic nowego się nie dołoży, ale jeśli to

ma być dobre, jeśli ma się czytać dobrze za sto lat (a takie mam cele), to historia musi się odleżeć w mojej głowie. Muszę na to popatrzeć z pewnej odległości czasowej, aby to opowiedzieć dobrze, mądrze, z morałem od kogoś, kto nie tylko był i widział, ale też przemyślał, dojrzał, a tamten pobyt przyniósł owoce po latach. Moje opowieści są jak stare wino leżakowane w piwnicy. Uważam, że są przez to lepsze niż tegoroczne włoskie *novello*.

**– Najnowsza Pana książka powstała przy czujnym wstawie św. Józefa. Czy wcześniejsze książki też miały swojego patrona?**

– Nie każda. Ja mam patronów, i proszę ich o pomoc w każdej robocie. Mam też aniołów stróżów, osobistego, ale jest też osobny anioł, który strzeże „Boso przez świat”. Modłę się do Ducha Świętego o natchnienia, o prowadzenie, o to „by to było Twoje dzieło, a ja Twoim narzędziem”. Przed każdym występem na scenie klęczę w garderobie z rękami uniesionymi w górę i proszę: „Niech zstąpi Duch Twój, na mnie, na publiczność, niech będzie w tej sali z nami”. Ale patrona do roboty przy książce poprosiłem po raz pierwszy. W USA w kościele rozdawali obrazki – św. Józef robotnik. Obrazek w starym stylu. Wziąłem dwa, bo się skleity. No to jeden zostanie w USA, a drugiego Józefa zabiorę do Polski. Lubię mieć podwójne przedmioty, takie same w Polsce i w Arizonie. Chodzi o to, by mój gabinet do pracy położony za oce-





anem był podobny do tego, w którym jestem teraz. Mam po dwa identyczne zegary, ten sam gatunek ołówka, taki sam zszywacz i dwa takie same św. Józefy w identycznych ramkach.

Ramki kupowałem w Walmarcie z przeznaczeniem na fotografię mojego Ojca. Każda ramka udaje fotel na plaży. Chciałem w niej posadzić Ojca, ale św. Józef pasował na rozmiar – przymierzyłem, pasował, zostawiłem. Stawiam na biurku i mówię do Niego: Skoro tak dobrze tu pasujesz, to siedź i pomóż mi napisać „Orinoko”. Siedział ze mną od pierwszej do ostatniej literki. Patrzył na mnie ze swojego leżaka. Pomagał. Dlatego na ostatniej stronie książki zamieściłem podziękowanie dla Niego.

**– Jak udaje się Panu nie powielać się – nigdy nie powtarza Pan tych samych historii w książkach, na scenie, w radio?**

– Biznesmen jestem, prawda? Towar powielany, odgrzewany, towar, który już słyszeliśmy, widzieliśmy sprzedaje się gorzej. Więc nie powielam. Dbam za to, by moje kolejne produkcje uzupełniały się nawzajem. Odcinek „Boso przez świat” trwa niecałe trzydzieści minut, niektórych rzeczy się nie opowie, bo za mało czasu, więc opowiadałem je w innych miejscach, na występie, w książce albo radiu. W książce nie da się zagrać piosenki, więc całą sferę dźwiękową, wszystkie opowieści tego typu trafiają do mojej audycji w radiowej Trójce. Z kolei w radiu trudno robić miny, więc zostawiam je sobie na występie scenicz-

ne, podobnie jak wygibasy i wygłupy.

Stosuję rozróżną gospodarkę zasobami, tak bym to określił językiem biznesowym. A ponadto dzięki temu sam się nie nudzę. Gdy piszę książkę, reszta mojego ciała odpoczywa. Gdy opowiadam do kamery, odpoczywa ta część mojego mózgu, która się zmęczyła przy pisaniu. Gdybym się powieliła, nudziłbym się w pracy.

**– Kto jest adresatem najnowszej publikacji „Piechotą do źródeł Orinoko”?**

– Wszyscy, i to po wiele razy. Przychodzi do mnie dorośli ludzie, którzy czytali moją pierwszą książkę polityczną („Kołtun się żyje”) jako nastolatki. Teraz mają własne dzieci i mówią mi, że przeczytali ponownie, i że zrozumieli ją trochę inaczej po latach. „Gringo wśród dzikich plemion” pisałem jako opowieść dla dorosłych,

a dowiaduję się, że ludzie czytają to swoim dzieciom przed snem i dzieci słuchają zaciekawione, choć nie wszystko rozumieją.

Z drugiej strony – moje książki nie mają konkretnego adresata. Dzielę się szeroką garścią. Coś przeżyłem i opowiadam z radością każdemu, kto zechce słuchać. Nie mam w głowie w trakcie pisania żadnego wyobrażenia, do kogo przemawiam. Gdy piszę, mam przed oczami ten otwarty pejzaż prairii i tę moją uroczą ciszę – tak piszę. Piszę w pewnym sensie w pustkę, w otwartą przestrzeń. Piszę w ciszy. Nikogo wtedy nie ma przy mnie, czyli... piszę sobie. Tak, to chyba najtrafniejsza odpowiedź na to pytanie: piszę sobie, aby się nie straciło, nie zapomniało, nie przepadło. Jestem narzędziem, nie normalnym autorem. I jestem też oczywiście autorem nienormalnym (*śmiech*).

— Reklama —



Wojciech Cejrowski

## Piechotą do źródeł ORINOKO

cena **48,90 zł**  
+ koszty przesyłki

[www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl](http://www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl)